

1

— Jeśli dostaniesz gruby list, to znaczy, że cię przyjęli. A jeśli cienki, nie masz szans.

Oświadczenie to wygłosiła Becky Margeson. Dwie pozostałe przyjaciółki nie zwróciły na te słowa uwagi; już je słyszały. Takie stwierdzenia należały do cowiosennego zamieszania wokół przyjęć na uniwersytet. To akurat okazało się zupełną bzdurą dwa lata wcześniej, kiedy przewodniczący samorządu uczniowskiego został przyjęty na uniwersytet Ivy League* i przez tydzień o tym nie wiedział — aż do chwili, kiedy jego matka, opróżniając kosz na śmieci, znalazła w nim wyrzucony w ataku złości cienki list — zmięty i w nie naruszonej kopercie.

Do Natalie Armstrong nie docierały słowa przyjaciółek, które w wiosenne, sobotnie popołudnie leżały rozciągnięte na jej łóżku. Od dawna myśli miała zajęte czymś innym, ale nie dzieliła się tym nawet z najbliższymi przyjaciółkami.

— Jeśli dostanę list gruby na sześć cali, to i tak na końcu musi być słowo „stypendium”, albo żadnych

* Ivy League (Liga Bluszczowa): zwyczajowa nazwa kilkunastu najbardziej prestiżowych uniwersytetów w Stanach Zjednoczonych. W jej skład wchodzi m.in. Harvard i Yale (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

studiów — jęknęła Gretchen Zimmeman. Zzuła tenisówki i obejrzała stopy w świetle wpadającym przez okno. — Chciałabym, żeby już było lato, mogłabym się opalić. Moje stopy wyglądają jak filety z dorsza.

— Nienawidzę tego czekania — westchnęła Becky. — Czekasz do połowy kwietnia, żeby się przekonać, czy cię przyjęli. Potem czekasz na lato, żeby się opalić. Potem na koniec lata, żeby już iść na studia. A potem co? Pewnie idziesz na te studia i znów na coś czekasz.

— Na ślub — uśmiechnęła się Gretchen. Podwinęła pod siebie bosc stopy i spojrzała na swoje dłonie, rozcapierzając palce, jakby wyobrażała sobie na jednym z nich obrączkę.

— Ha! — parsknęła z obrzydzeniem Natalie.

— Ha! — powtórzyła Gretchen i roześmiała się.

— Nat, ty pewnie wyjdiesz za Paula, kiedy tylko skończysz studia. Ale z ciebie szczęściara.

— Szczęściara? — Natalie spojrzała na nią zaskoczona.

— Owszem, Nat — potwierdziła Becky poważnie. — Spójrz na siebie. Jesteś śliczna. Naprawdę, gdybym cię tak nie lubiła, tobym cię szczerze znienawidziła. Czy chociaż raz w życiu wyszedł ci pryszcz?

Natalie roześmiała się.

— Kiedyś miałam opryszczkę. Tato powiedział, że spowodował ją wirus.

— Opryszczkę. Wielka mi rzecz. Ja mówię o pryszczach! Jesteś jedyną niepryszczatą osobą, jaką znam. — Becky pochyliła się do lusterka na biurku Natalie, spojrzała na swoje odbicie, pokazała mu język i westchnęła.

— I masz Paula — mruzczała Gretchen. — I już cię przyjęli do MacKenzie, a twoi rodzice mogą sobie pozwolić na chesne. Boże, ale z ciebie szczęściara, Nat. Czy na twoim podaniu było jedno z tych głupich pytań: „Co uważam za swoją najbardziej interesującą cechę?” I co napisałaś, Nat? „Moją najbardziej interesującą cechą jest to, iż jestem niesamowitą szczęściarą”?

Natalie zmieła kartkę z bloku i rzuciła nią od niechcienia w Becky.

— Nie — odparła. — Napisałam: „Moją najbardziej interesującą cechą jest to, że mam nienormalne przyjaciółki”!

Roześmiały się.

To był taki dzień, kiedy łatwo było się śmiać. Śnieg wreszcie stopniał, a wczesnokwietniowe słońce obiecywało, że niedługo nadejdzie lato. Najtrudniejsze lekcje w czwartej klasie już się skończyły; wszyscy czekali niecierpliwie na zakończenie roku, a nauczyciele ich rozpieszczali. Nauczycielka angielskiego na jesieni przerobiła Hawthorne’a i Thoreau i teraz czytali Salinger’a i Vonneguta. Cztery lata odmiany francuskich czasowników poszły w zapomnienie i romanistka uczyła ich gotowania. Czasami brali w posiadanie salę zajęć praktycznych i smażyli naleśniki. Czasami czytali na lekcjach „Elle” i rozmawiali o modzie; chłopcy jęczeli i udawali, że wymiotują pod ławki, oczywiście wtedy, kiedy nie przeglądali gazet w poszukiwaniu zdjęć modelek w prześwitujących bluzkach.

Becky i Gretchen na pewno dostaną się na uniwersytet, i Gretchen, która miała najwyższą średnią w historii szkoły, otrzyma stypendium, które umożliwi jej studia.

Paula już przyjeźli do Yale. Daleko od MacKenzie, ale to nie miało znaczenia. Natalie będzie się z nim widywała podczas wakacji; będą do siebie pisać; będą blisko; oboje czekali na to, co miało nastąpić.

Ten wiosenny niepokój był w czwartej klasie rytuałem, służył do zabicia nudy. Mieli przynajmniej o czym rozmawiać.

Rozległo się pukanie do drzwi sypialni. Nancy, siostra Natalie, wsunęła głowę do pokoju. Nancy była o rok młodsza: miała szesnaście lat, pyzată buzię, jasne włosy i piegi. Przyszłoroczna kronika miała opisać Nancy jako „milusią”. W tegorocznej Natalie scharakteryzowano cytatem z Byrona: „Gdy stąpa, piękna”. Wcale nie były podobne. Ale były przyjaciółkami.

— Nat, mama chce, żebyś nakryła do stołu.

— Nancy, zrobisz coś dla mnie?

— No?

— Odczep się.

Nancy wyszczerzyła zęby w uśmiechu i zamknęła drzwi.

— Słuchaj, ja i tak muszę już lecieć — powiedziała Gretchen i wstała.

— Ja też — rzekła Becky. — Muszę w domu sprawdzić pocztę.

— Powiedźcie mamie, że zaraz zejdę — powiedziała Natalie i przez chwilę nasłuchiwała stłumionych kroków przyjaciółek na schodach. Nancy zawołała: „Na razie!”, a potem rozległo się trzaśnięcie frontowych drzwi.

Nie ruszając się z miejsca, dostrzegła swoje odbicie w lustrze po drugiej stronie pokoju. Dłgie, ciemne

włosy. Niezwykle niebieskie oczy. Miała bardzo bladą skórę, ale latem szybko się opalała. Jej zęby były równe i proste; nigdy nie potrzebowała aparatu, który Nancy nosiła od trzech lat.

Chyba mają rację. Jestem szczęściarą. O ile oczywiście liczy się tylko wygląd. Chyba jestem ładna, ale też dość inteligentna, żeby nie musieć zakuwać i dostać się na uniwersytet, a potem na studia medyczne.

Mogę robić, co tylko zapragnę.

Dlaczego więc pragnę czegoś, co mnie tak przeraża?

Natalie podeszła do sosnowego biurka, które wiele lat temu zrobił dla niej ojciec w warsztacie w garażu. Pociemniało już i było porysowane, ale ona nadal kochała je tak jak w dniu, kiedy ojciec ostatecznie je wyszlifował i nawoskował, używając miękkiej szmatki.

Ze swoim ojcem, lekarzem, była bardzo związana. W przedszkolu i na początku podstawówki, kiedy na każdy Dzień Ojca robiła dla niego przyciski do papieru i bibularze (Kto używa przycisków do papieru i bibularzy? Teraz wiedziała, że nikt), ustawiał je na honorowym miejscu na swoim biurku, jak dzieła sztuki. To on bandażował jej podrapane kolana, kąpał ją w chłodnej wodzie z lekarstwem, kiedy złapała wietrzną ospę i całe ciało ją swędziało, to on siedział przy jej łóżku i trzymał za rękę, kiedy obudziła się obolała z narkozy i stwierdziła, że nie ma już wyrostka.

Matka Natalie, Kay Armstrong, cieszyła się w rodzinie sławą nieprzewidywalnej. Córka pary artystów, którzy wędrowali z miejsca na miejsce niczym Cyganie, Kay w dzieciństwie zwiedziła Europę i Meksyk;

przejęła zamiłowanie rodziców do kolorów, światła i zmian; odziedziczyła ich wylewną uczuciowość. Jako młoda dziewczyna wybrała proste, spokojne życie żony małomiasteczkowego lekarza, ponieważ kochała Aldena Armstronga, ale wniosła do rodziny spontaniczność i żywiołowość, która ich czasami zaskakiwała. Dom Armstrongów nie przypominał innych i była to zasługa Kay.

Na przykład był to jedyny dom w Branford w stanie Maine, gdzie pośrodku nowoczesnej, starannie wykafelkowanej łazienki na piętrze stała wielka, staroświecka wanna na łapach. A pazury tych łap pomalowane były karmazynowym lakierem do paznokci. Kay Armstrong pomalowała je, jeden po drugim, pewnego październikowego popołudnia, kiedy pozostałe żony lekarzy z Branford słuchały wykładu o układaniu kwiatów, zebrane na comiesięcznym obiedzie, na który Kay zapomniała pójść.

Była też jedyną żoną lekarza w Branford w stanie Maine, która wywieszała pranie na sznurku w ogrodzie, zamiast wkładać je do suszarki, ponieważ lubiła wyglądać przez okno i patrzeć na kołysane wiatrem ubrania. Szczególnie zachwyciła się, kiedy pewnego dnia rękaw piżamy męża, szarpnięty bryzą znad zatoki, objął w pasie jej koszulę nocną.

— Założę się, że to najbardziej seksowna rzecz, jaka się kiedykolwiek na tym podwórku wydarzyła!

— wykrzyknęła, wyglądając przez kuchenne okno.

— Mamo! — jęknęła Nancy. — Nie bądź okropna!

— Wiesz — uśmiechnęła się matka — jeśli działo się tam coś bardziej seksownego, to pozostaje mi

tylko mieć nadzieję, że rozmawiałaś już z ojcem o antykoncepcji.

— Mamo! — jęknęła znów Nancy. Kay Armstrong uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami, wciąż obserwując, jak pasiasty rękaw kokietuje różową koszulę nocną.

Nie była zwyczajną, zabieganą matką. Natalie ją uwielbiała.

— Mamo! Za chwilę zejdę i nakryję do stołu, dobrze? — zawołała Natalie, stając w drzwiach sypialni.

— Tajest! — odrzyknęła matka przyjaźnie.

Tajest. Natalie uśmiechnęła się. Żołnierska odpowiedź, pomyślała. Kto inny... kto inny ma matkę, która gada jak sierżant podczas musztry?

Podeszła do biurka, otworzyła górną szufladę, wyjęła z niej pracę, spojrzała na nią i westchnęła.

Tajest. Jej matka nie powiedziała „tajest”, kiedy ją przeczytała. Twarz jej się zmieniła jak chusteczka i matka rozplakała się.

A ojciec się odwrócił, milczący, zakłopotany, jak wtedy, kiedy nie mógł pomóc swemu pacjentowi.

— Natalie — powiedział, i to słowo, jej imię, zabrzmiało niemal jak pytanie. Było w nim pełno bólu.

Nie rozmawiali o tym więcej. Natalie zawsze sądziła, że nie ma rzeczy, o których nie może rozmawiać z rodzicami. Często rozmawiali o uczuciach: o gniewie, o żalu, o miłości. Kiedy przeczytali esej, który im dała, w ich twarzach zobaczyła te wszystkie uczucia; i jeszcze ból. A jednak nie byli w stanie o nich rozmawiać.

Stało się to dwa miesiące temu. Nie wspomnieli o tym więcej. Życie toczyło się dalej w domu Armstrongów, złożone z wybuchowej radości Nancy, refleksyjnego spokoju Natalie, kolorowych szaleństw Kay Armstrong i godności pana doktora, dzięki której wszystko działało spokojnie i według planu. Ale teraz pojawiło się w tym życiu coś jeszcze. Tępy ból, jaki zadała, unosił się wszędzie niczym przezroczysta zasłona; wszyscy patrzyli przez nią, obok niej, nad nią i pod nią, udając, że tak naprawdę wcale jej tam nie ma.

Pewnego razu siostra ojca, nazywana straszną ciotką Helen, przysłała im na Gwiazdkę ohydną ceramiczną lampę. Była to jasnozielona pantera, z której brzucha zwisała żarówka. Straszna ciotka Helen pisała w załączonym liście, że jeśli postawią ją na telewizorze, to ich oczy będą chronione przed uszkodzeniami spowodowanymi przez migotanie ekranu.

— To zwierzę ma straszne problemy seksualne — powiedziała matka Natalie, obracając lampę, by przyrzyć się żarówce i wiszącemu kablowi. — Dlaczego go nie zapakujemy i nie odeślemy do sklepu w St. Louis?

— Kay — rzekł jej mąż. — Helen zawsze wpada tu bez zapowiedzi. Musimy to postawić na jakiś czas na telewizorze, żeby nie ranić jej uczuć.

— W porządku — powiedziała pani Armstrong. Przesunęła małą peruwiańską rzeźbę, która zawsze stała na telewizorze, i postawiła panterę na jej miejscu. — Ale będziemy udawać, że to jest niewidzialne.

Wszyscy popatrzyli na panterę. Czaiła się złowrogo i obnażała zęby. Była bardzo duża. I bardzo, bardzo zielona.

— Widzicie panterę na telewizorze? — zapytała Kay Armstrong.

— Nie. — Nancy, która zawsze kibicowała szaleństwom matki, zachichotała. — Nic nie widzę.

— Panterę? — zapytała poważnie Natalie. — Na telewizorze? A kto przy zdrowych zmysłach postawiłby panterę na telewizorze?

— Na pewno nie Armstrongowie — odparł jej ojciec stanowczo. — Armstrongowie mają bardzo dobry gust. Nie widzę niczego na telewizorze.

Zielona pantera stała tam miesiąc. Pewnego dnia Natalie usłyszała ze swojego pokoju trzask. Kiedy zeszła na dół, matka zbierała zielone skorupy i wrzucała je do kosza.

— Niesamowite, jak łatwo jest uderzyć z całej siły łokciem w coś niewidzialnego — powiedziała spokojnie.

— Niesamowite — uśmiechnęła się Natalie, pomagając pozbierać resztę skorup.

Teraz znów grali w tę samą grę. Skoro udawali, że napisana przez nią praca nie istnieje, to nie istniała.

Ale istnieje, pomyślała Natalie. Napisałam ją. Musiałam ich poprosić, żeby ją przeczytali.

I będą musieli ze mną porozmawiać. Nawet, jeśli sprawi im to ból.

2

Pusta strona na formularzu podania do MacKenzie nie różniła się niczym od innych. Po rutynowych pytaniach dotyczących ocen i zajęć Natalie w liceum, po informacjach na temat urzędu podatkowego i ubezpieczenia i tym podobnych, dzięki którym podanie wyglądało niczym dno talerza, do którego przywarł makaron w kształcie literek, zadawali to jedno pytanie, a na odpowiedź przeznaczali całą stronę.

Tak jak większość uniwersytetów. Zazwyczaj było to pytanie o najbardziej interesującą lub najważniejszą rzecz, jaka podczas ostatnich lat przytrafiła się wypełniającemu podanie. Było to pytanie, przed którym drżało całe Branford w stanie Maine, tak maturzyści, jak i pedagog szkolny, ponieważ w Branford w stanie Maine nie działo się nic interesującego.

Wszyscy byli absolutnie przekonani, że w całym kraju roiło się od maturzystów, którzy podczas lata pracowali w koloniach dla trędowatych.

Jednego lata miasteczku Branford zagroziła sfera dzikich, wściekłych psów; policja stanowa zwabiła je na teren otoczony siatką i zastrzeliła. Tak naprawdę były to tylko cztery dzikie psy, które łączyły razem; jak potem ustalono w laboratorium stanowym, jeden rzeczywiście miał wściekliznę. Nim je zastrzelono, zabiły sporo kurczaków i jedno cielątko. To były dwa dni

wypełnione strachem; telewizja, radio i głośniki na dachach policyjnych samochodów powtarzały, żeby nie oddalać się od domów. Nikt nie wypuszczał dzieci na dwór, dopóki niebezpieczeństwo nie minęło. Licealiści z Branford zgłosili się na ochotnika do pomocy w tropieniu psów; w Maine większość nastolatków ma doświadczenie w tropieniu jeleni podczas sezonu polowań. Ale policja stanowa odmówiła. Kilku z tych chłopców i tak wypuściło się na łowy i przez pomyłkę zastrzeliło bernardyna należącego do pastora. Żaden z piątki nie chciał powiedzieć, który strzelił; odesłano ich do domów. Złożyli się i kupili ojcu Simmsowi, który potraktował całą sprawę spokojnie, szczeniaczka, ochrzczonego jako Pokuta, a nazywanego Poki.

Szkolny pedagog przez dwa lata cieszył się na samą myśl o tych wydarzeniach. Kiedy maturzyści pytali go o radę, co umieścić na czystej stronie podania, oczy mu błyszczały:

— Piszcie o tym, jak na miasteczko napadły wściekłe psy — mówił.

Po jakimś czasie nikt mu już nie przypominał, że były tylko cztery psy i zastrzeliło je trzech policjantów. Maturzyści pisali o wycieczce do Quebecu z kółkiem romanistycznym. Niektórzy zaś opisywali, jak chata na przedmieściach, w której żył miejscowy lump, doszczętnie się spaliła, a on z nią; Klub Sportowy zorganizował szybką zrzutkę na pogrzeb, na którym pojawiło się całe liceum. Większość chłopców od czasu do czasu płaciła Willie'emu, temu lumpowi, ćwierć dolara, by kupić im sześciopak piwa. Oczywiście, o tym w podaniu nie pisali, ale chętnie nadmieniali, jak to szkolny chór

spontanicznie odśpiewał „Gdzie są chłopcy z tamtych lat” gdy to, co zostało z Willie’ego, spoczęło w grobie.

Podanie do MacKenzie zadawało to poważne pytanie w sposób nieco odmienny. Brzmiało ono: „Wyminen jedną rzecz, jaka wyróżnia cię spośród dziewięciuset maturzystów, którzy w tym roku złożą podania na pierwszy rok studiów w MacKenzie. Jaki wpływ będzie miała ona na twoje życie podczas nadchodzących czterech lat?”

Natalie długo wpatrywała się w pytanie. Potem wzięła z biurka żółty blok, odkręciła pióro i napisała:

Wyróżnia mnie fakt, że nie mam pojęcia, kim naprawdę jestem.

Nazywam się Natalie Chandler Armstrong. Nazwano mnie Natalie Chandler po mamie mojej mamy, która jest znaną rzeźbiarką. Była ona żoną malarza, który zmarł, nim ja się urodziłam, i razem zwiedzili cały świat. Oboje byli bardzo znani. Moja mama, ich jedyne dziecko, nie jest sławna, ale jak jej rodzice ma artystyczną duszę i opowiada fascynujące historie o dorastaniu w tak niezwykłej rodzinie.

Mój ojciec, Alden Armstrong, jest lekarzem bardzo oddanym swej profesji. Skończył Szkołę Medyczną Harvardu i pracował przez jakiś czas w Klinice Lahey w Bostonie, zanim zdecydował się przyjechać do Maine. Przez pewien okres był w naszym miasteczku jedynym lekarzem. Dzisiaj są też inni, ale jedno skrzydło naszego szpitala nazwano skrzydłem Armstronga. Dwa lata jego pacjenci, których leczy od dwudziestu lat,

zbierali pieniądze na budowę tego skrzydła i nazwali je na cześć ojca. Jestem bardzo dumna, gdy patrzę na tę nazwę.

Moja młodsza siostra Nancy wygląda zupełnie jak mój ojciec, ale ma osobowość mojej matki. To fajna kombinacja.

Ale mnie moi rodzice adoptowali, kiedy miałam pięć dni. Oczywiście, rozwinęły się u mnie ich cechy, bo od siedemnastu lat są moją rodziną. Jednak moje prawdziwe pochodzenie jest dla mnie kompletną tajemnicą. Gdzieś na świecie istnieje dwoje ludzi, którzy powołali mnie do życia, a ja nie wiem, kim oni są. Mam ciemnobrązowe włosy i jasnoniebieskie oczy. To niezwykle połączenie. Skąd się wzięło? Nie wiem.

Z czasami nie śpię w nocy i zastanawiam się nad tajemnicą otaczającą moje narodziny. Dlaczego ktoś oddał dziecko? Dlaczego oddano mnie? Czuję się wtedy zła, skonfundowana, smutna. Myślę, że oni też się tak czują. Nie wierzę, że o mnie zapomnieli.

Jestem pewna, że będzie to miało na mnie wpływ nie tylko podczas czterech kolejnych lat, ale przez całe moje życie, przynajmniej dopóki nie znajdę odpowiedzi.

Zamierzam pracować bardzo ciężko na uniwersytecie, gdyż chcę być lekarzem jak mój ojciec. Ale jednocześnie zdecydowałam, że spróbuję odnaleźć moich biologicznych rodziców. Nie wiem jak. Ale jestem pewna, że istnieje jakiś sposób.

Praca, napisana drobnym i starannym charakterem pisma Natalie, zajęła całą kartkę papieru. Kiedy skończyła, odłożyła ją.

Zaczęła od nowa na drugiej kartce.

Wyróżnia mnie to, że bardzo chcę zostać dobrym lekarzem. Już dwukrotnie podczas wakacji letnich pracowałam w gabinecie mojego ojca, ucząc się, jak robić proste testy laboratoryjne i obserwując, jak on zajmuje się pacjentami, którzy powierzają mu swoje zdrowie i życie.

Zapełniła dwie strony. To tę drugą pracę starannie przepisała na podaniu i wysłała do MacKenzie.

Ale rodzicom pokazała pierwszą.

— Dlaczego? — zapytała matka, wstrząśnięta.

— Dlaczego, Natalie? Dlaczego to ma jakiegokolwiek znaczenie? Jesteś naszą córką od niemowlęctwa. Twój ojciec i ja nigdy nie myślimy o tym, że cię adoptowaliśmy. Czy popełniliśmy jakiś błąd? Czy czułaś się inna?

Natalie bez słowa pokręciła głową, przygryzając wargę. Nie potrafiła wyjaśnić rzeczy, której sama nie rozumiała. Ale czuła potrzebę. Spojrzała na ojca, mając nadzieję, że wszystkiemu zaradzi. Ale on też był zmartwiony.

— Nat — powiedział wreszcie. — Nie wiem, co powiedzieć. Uważam, że podejmując te poszukiwania, popełniasz straszny błąd. Co dobrego z tego wyniknie?

— Nie wiem — odpowiedziała cicho. — Nie wiem. Ale znikną wszystkie sekrety.

To słowo rozsierdziło ojca.

— Sekrety? Natalie, twoja matka i ja niczego przed tobą nie ukrywaliśmy! Nic nie wiemy o twoich biologicznych rodzicach. I tak powinno być. Twoja

adopcja została załatwiona przez profesjonalistów, którzy nie udzielili nam żadnych informacji. A my ich o to nie prosiliśmy. Zostałaś naszą córką tak samo jak rok później Nancy. Dla nas nie ma między wami żadnej różnicy. Zostałyście poczęte, urodziłyście się, wkroczyłyście w nasze życie, jesteście naszymi córkami.

— To nie to samo. Nancy została poczęta przez was, mama ją urodziła. Nie mów mi, że to jest to samo. Kto mnie urodził? Dlaczego mnie oddali?

Matka pogłaskała ją po włosach.

— Natalie. To nie ma znaczenia. Naprawdę nie ma.

— Owszem, ma — upierała się Natalie. — Dla mnie ma.

— Nat — powiedział wreszcie ojciec. — Pozwól, że przedyskutujemy to z mamą. Teraz jesteśmy zbyt zdenerwowani. Daj nam trochę czasu. Potem o tym znów porozmawiamy.

Natalie z ociąganiem kiwnęła głową i zapadła między nimi przezroczysta zasłona. Od rozmowy minęły dwa miesiące. Rodzice nie poruszyli tematu.

3

Był maj, a ona kłóciła się z Paulem.

Zaletą tej znajomości było dla niej to, że mogli się swobodnie spierać. Pod tym względem był podobny do jej ojca: słuchał tego, co miała do powiedzenia, traktował ją poważnie i zachęcał, by trzymała się własnego zdania, nawet jeśli się z nią nie zgadzał. Zazwyczaj.

Teraz Paul obdarzył ją długim spojrzeniem, zmarszczył brwi i powiedział:

— Bzdura.

Właśnie powiedziała mu, tak jak po południu dziewczynom, że chce znaleźć swoich biologicznych rodziców. Becky i Gretchen zapytały:

— Dlaczego?

Paul nie zapytał dlaczego. Paul pokręcił głową i powtórzył:

— Bzdura.

Siedzieli w jego poobijanym volkswagenie zaparkowanym na podjeździe domu Armstrongów. Byli na horrorze i całą drogę do domu się zaśmiewali. Potwory miały szwy w kostiumach i ostrego zeza, a Paul podczas jazdy udawał źle funkcjonującego dinozaura. Ale dobry humor zniknął, kiedy zaczęli rozmawiać.

— A co to niby ma znaczyć? — Natalie była zła. Miała nadzieję, że Paul ją zrozumie.

— Nat — powiedział. — Masz świetnych rodziców i nie masz prawa im tego robić.

— Boże, Paul, mówisz zupełnie, jakbym była jakąś psychopatką. Nic im nie robię. Kocham moich rodziców. Po prostu muszę się dowiedzieć i tyle.

— Czemu? A jakie to ma znaczenie? Żadnego.

— Łatwo ci mówić. Ty znasz wszystkich swoich przodków od „Mayflower”* począwszy. Nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy się nie zna swojego dziedzictwa.

— A kogo to obchodzi? Natalie, ja nie znalazłem swoich przodków. To tylko spisane nazwiska, których nigdy nie przeczytałem. Mnie to nie obchodzi. Obchodzi tylko moją matkę, która biega na te zwariowane spotkania kółka historycznego. Tego właśnie chcesz, Natalie, nosić kapelusz z kwiatkami i śpiewać hymn?

— Paul, przestań. Znasz mnie. Posłuchaj mnie przez chwilę. Nie obchodzi mnie odległa przeszłość. Chcę znaleźć moją matkę. Chcę się dowiedzieć, co się stało, czemu się urodziłam, dlaczego mnie oddała. Kim ona była. Kim jest.

Milczał przez chwilę. Potem powiedział:

— A jeśli się dowiesz, że to tania dziwka, która pracuje w Bostonie na ulicy?

Natalie poczuła się tak, jakby ją uderzył.

— Jesteś podły — powiedziała.

— Nie, nie jestem. Po prostu się o ciebie troszczę, Nat. Posłuchaj, to, kim człowiek jest, nie ma nic wspólnego z tym, skąd pochodzi, kto go urodził.

* „Mayflower” — statek, na którym przybyli do Ameryki pierwsi osadnicy z Wielkiej Brytanii.

— To nieprawda.

Paul westchnął.

— Natalie, pamiętasz tę Brendę, tę, która w dziesiątej klasie rzuciła szkołę?

Natalie popatrzyła na niego.

— Tak — odparła. — Oblała wszystko, nawet gotowanie. Ale miała miły uśmiech. Pamiętam jej uśmiech, zawsze taki głupawy, czuło się w nim zaskoczenie i strach. Samotność. Czemu?

— Wiesz, Brenda teraz pracuje w przetwórnicy ryb. Nadal ma ten głupawy uśmiech, w którym czuje się samotność. Więc może przez samotność i głupotę Brenda chodzi do łóżka z każdym, kto się do niej uśmiechnie i postawi jej dwa piwa.

— I co z tego?

— Nic. Wyobraź sobie, że dzisiaj odstawię cię do domu, pójdę na nabrzeże, postawię Brendzie dwa piwa i ją przelecę.

— Paul...

— Nie, nie zamierzam, Nat. Ale mógłbym. Połowa maturzystów już to zrobiła. A teraz wyobraź sobie, że ją przeleciałem i Brenda zaszła w ciążę. Nawet by nie wiedziała, że dziecko jest moje. Mogłoby być obojętnie kogo. Wyobraź sobie, że ta chuda, przerażona, opóźniona w rozwoju dziewczyna urodziłaby to dziecko. Myślisz, że miałyby cokolwiek wspólnego ze mną?

— Tak — rzekła Natalie. — Mogłoby mieć twoje oczy. Twoją inteligencję. Byłoby częścią ciebie.

— Bzdura, Natalie — odpowiedział Paul, zły. — Nie wierzę w to. To byłoby po prostu dziecko. Pewnie chore. Urodzone przypadkiem, bo ktoś był napalony

i mógł wydać kilka dolców na piwo. „Dziedzictwo” to puste słowo.

— Paul, pozwól, że cię o coś zapytam. Naprawdę myślisz, że mogła mnie urodzić prostytutka, albo, jak to ująłeś, tania dziwka, która pracuje na ulicy w Bostonie? Albo jakaś opóźniona umyślowo kobieta jak Brenda?

Odwrócił wzrok, spojrzął przez okno na trawnik i nie odpowiedział.

— Myślisz? — ponowiła pytanie.

— Nie — odrzekł wreszcie.

— Ja też nie, do diabła. Myślę, że gdzieś mieszka ciemnowłosa kobieta, która z jakichś powodów urodziła dziewczynkę, której nie mogła zatrzymać. I że cały czas o niej myśli i zastanawia się, gdzie to dziecko jest. Gdzie ja jestem. I ja ją znajdę, Paul. Mam do tego prawo.

Pocałowała go szybko i wysiadła z samochodu. Włączył silnik i zawołał do niej:

— Nat?

— Co? — Podeszła do okna.

— Nie rań rodziców.

Stała w ciszy, obejmując się ramionami, bo nocny wiosenny wiatr był zimny.

— Już ich zraniłam — powiedziała. — Szkoda, że tak się stało. — Odwróciła się i pobiegła przez trawnik na werandę, a Paul wycofał samochód i pojechał do domu.

4

— Natalie — powiedział ojciec. — Nie zapomnieliśmy o tym. Mama i ja dużo rozmawialiśmy.

— A dlaczego nie rozmawialiście ze mną?

— Porozmawiamy, Natalie. Daj nam czas. Nie jest nam łatwo.

— Mnie też nie.

— Wiem, kochanie — powiedział. — Daj nam trochę czasu. — Przytulił ją.

Kocham tego człowieka, pomyślała. Mojego ojca. Dlaczego mi to nie wystarcza?